

Punkt zwrotny

Progi łódzkiej EC1 przekroczyłam po raz pierwszy w ubiegłym roku jako uczestniczka Igrzysk Wolności. W tym roku, a była to dziesiąta edycja tego wydarzenia) z przyjemnością wzięłam w nich udział ponownie. Trwały od piętnastego do siedemnastego września.

Po uiszczeniu przez Internet stuzłotowej opłaty i wydrukowaniu papierowego potwierdzenia byłam już pełnoprawną uczestniczką imprezy. Z ciekawością i podekscytowaniem wysiadłam z dwunastki. Przystaneczek (bo bardzo krótki, obejmuje wyłącznie zakręt) miałam przed dworcem Łódź Fabryczna tuż przed Bramą Miasta. Cofnęłam się i skręciłam w uliczkę w lewo. Owszem, widać że teren „robi” za przemysłowy, króluje beton, ale zdecydowanie tu za mało osławiającej zieleni. Nawet nie łagodzi szarej pustki małe zabawowisko dla dzieci. Dzieci zresztą tam ani widu, ani słyhu, pomimo słonecznego popołudnia. Uliczka bodajże nazywa się ulicą Hasa. Nieźle się idzie, jeśli hasa nią w tę samą stronę sporo ludzi zdążających na początek imprezy. Gorzej, jak trzeba wracać indywidualnym trybem późną porą. Ponurawo, pusto i nieprzytulnie. Człowiek automatycznie trochę przyspiesza i ogląda się za siebie z obawą.

Ale teraz wchodzę, okazuję odnośny papier i – jak to na igrzyskach – w charakterze biletu wstępu sympatyczna młodzież obwiązuje mi nadgarstek dwukolorową tasiemką, w zasadzie niemożliwą do zdjęcia bez przecinania. Zorientowałam się jednak chytrze, że tym razem założona jest dość luźno. Da się przepchnąć przez dłoń i z powrotem włożyć.

Przed oficjalnym otwarciem wysłuchaliśmy Oksany Zabużko z ciepłym monologiem, traktowanym jako spotkanie autorskie dotyczące książki „Najdłuższa podróż”, wygłoszonym w całkiem poprawnej polszczyźnie. Ponadto z wystąpień tego dnia wybrałam wykład Marka Galeotti, traktowanego przez różne media jako jednego z największych ekspertów od spraw współczesnej Rosji. Nastawiłam tłumaczenie w słuchawkach na optymalną dla siebie ostrość i głośność. I oczywiście – jak to bywa w nadmiernych oczekiwaniach – skończyło się rozczarowaniem. Tytuł wykładu brzmiał „Putin i przyszłość geopolityki w Europie Środkowo-Wschodniej”. Główne dwie prawdy, jakie lektor przekazał słuchaczom, brzmiały: 1. „Będziemy wiedzieć, co dalej, jak Putin umrze”, 2. „W każdym mieście ukraińskim powinno się stawiać Putinowi pomniki z wdzięczności, że Ukrainę uczynił tak istotną w świecie”. Nie komentuję tej drugiej prawdy. A i do pierwszej mam stosunek sceptyczny.

Dzięki temu, że we wrześniu była przepiękna pogoda, wykorzystałam możliwość zdejmowania „biletu” z nadgarstka, oddałam go na sobotę koleżance z „kulturalnym

ADHD”, przyznając, trochę cierpiąc z powodu niemożności wysłuchania wykładu Anne Applebaum (którą zresztą i tak wolę czytać, niż słuchać) i... udałam się na swoją działeczkę blisko Uniejowa, do swoich sióstr sosen zgodnie z zasadą: kochaj i rób, co chcesz.

Wróciłam na obrady w niedzielę. W roli wykładowców i prowadzących spotkania w czasie tego kulturalno-patriotycznego weekendu było zaproszonych ponad pięćset osób.

W panelu dyskusyjnym z udziałem Agnieszki Holland, Andrzeja Saramowicza i Macieja Stuhra zabrakło tej pierwszej (choć jeszcze nie wyświetlano „Zielonej granicy” i nie musiała mieć ochrony). Była z nami online, zmęczona unosiła palce w literę „V”, przypominając, że „wybierając mniejsze zło, wybieramy zło, które jednak jest mniejsze”. Maciej opowiadał o swoich rodzinnych wyprawach pomocowych na granicę polsko-białoruską, wielokrotnie podkreślając, że – jak wynika z jego obserwacji – we wszystkich trudnych sytuacjach pozytywną aktywność pierwsze podejmują kobiety.

Z przyjemnością wysłuchałam też innego panelu z udziałem profesora Bodnara. Mówił to, co zwykle wszyscy wiemy, ale i tak słuchanie go sprawia satysfakcję.

Spotkania odbywały się w sześciu salach: Hali Maszyn (największa), Planetarium, Sky Room, Basement Hall, Basement Ring i Class Room. Aby dostać się na spotkanie autorskie z Jarosławem Kurskim „Dziady i dybuki”, prowadzonym przez Joannę Podolską, musiałam dopytywać kilku pracowników, jak trafić na ów Basement Ring. Zanim znalazłam, było już tuż przed rozpoczęciem i sto krzeseł przygotowanych dla słuchaczy w niezbyt dużej sali było ewidentnie (bardzo ewidentnie!) zajętych. Wolne były balustradki, o które można się oprzeć, stojąc i kilka schodków. Siedziałam na schodku, błogosławiąc fakt zabrania ze sobą czerwonego sweterka, izolującego od chłodu i twardości odnośną część ciała.

Czytałam już książkę, słuchałam zgodnie z zasadą: „znacie, to posłuchajcie”. Głównie było o mamie i o mamie. Autor w holu podpisywał książki. Nie chciałam stracić okazji. Dokupiłam drugą i wzięłam dedykację dla przyjaciela z tekstem Autora „Z życzeniami zwycięstwa demokracji”. Nasycona empatią J. Kurskiego (J., ale przecież nie Jacka) zrezygnowałam z reszty programu dnia. W tym Balcerowicza i Andy Rottenberg.

Było to miesiąc przed wyborami. Tytuł tegoroczny igrzysk brzmiał: „punkt zwrotny”. Powoływano się przy tym na słowa Henryka Wujca „Nigdy nie jest tak, że nie mamy żadnego wpływu. Nawet jak czuję się bezradny czy bezsilny, to nigdy nie usprawiedliwia tego, żebym nic nie robił”.

Krystyna Borysewicz-Charzyńska

